

teraz uświadomiliśmy sobie, jak niezwykle sprzyjało nam szczęście w uniknięciu czyhających niebezpieczeństw.

Skazuję się sam na śmierć i mimo mej woli żyję, z rewizją w domu żandarmi się spóźniają, z Warszawy wydostajemy się z pod łap rosyjskich oprawców, omijamy szczęśliwie stację graniczną niemiecką, wkońcu wymykamy się szpicłom w Berlinie. Gdyby choć w jednym przypadku szczęście nie dopisało, nie byłoby już dla nas ratunku w zachowaniu życia.

R O Z D Z I A Ł VI.

Z ówczesną wolnością indywidualną mieszkańców Anglii, nie mógł konkurować żaden kraj kontynentu europejskiego, a już niezwykle kontrastował obraz warunków wolnościowych angielskich z rosyjskimi.

Do Wielkiej Brytanii mógł przyjeżdżać kto chciał i kiedy chciał. Nikt nie miał prawa legitymować przyjeźdnego. Było rzeczą obojętną, czy dany osobnik nosi swoje nazwisko, czy przybrane. Odpadały tu wszelkie formalności legitymacyjne. Mieszkanie było niedostępne dla niepożądanych osób.

A jakże skrajnie przeciwnie przedstawiało się zachowanie policji w Londynie i rosyjskiej w Warszawie. O ile tu policja dbała przede wszystkim o interes i bezpieczeństwo mieszkańców, przescigając się w uprzejmości przy zetknięciu z nimi, o tyle tam stanowiła ona sama jedynie niebezpieczeństwo dla jej mieszkańców, a przescigała się w brutalności.

Po przybyciu do Londynu, a było to w początku sierpnia 1892 r., skierowaliśmy nasze kroki przede wszystkim na Stonord Road, do Mendelsonów. Tego samego dnia jeszcze, przeniesiliśmy się w ich pobliże do pokoju umeblowanego, na pierwszym piętrze, w domu dwojga młodych ludzi.

Gospodarz był pochodzenia żydowskiego, ale wychowany w Londynie, wyglądał na Anglika. Młoda jego żona była Angielką. Widocznie, że zach-



wała swoje wyznanie, bo odwiedzał ją duchowny, na którego ręce składała swoje oszczędności, zamiast do kasy publicznej.

Mążonka moja, korzystając z kuchni gospodarzy, zaprzyjaźniła się z Angielką i w przeciągu roku już dosyć biegle mówiła po angielsku.

Po paru miesiącach pobytu w Londynie przyszła wieść z Warszawy o nieudanym zamachu Zielińskiego w cerkwi prawosławnej. Zapalnik, od którego miał się zająć lont, wybuchł w kieszeni Zielińskiego, lont zaś zawiódł; nie był zabezpieczony od wchłaniania wilgoci. Zielińskiego wyprowadzono na ulicę, a kiedy go prowadzono do posterunku policyjnego, otruł się w drodze, zgryzając małą bankę szklaną z cjankiem potasu.

Chociaż zamach był technicznie nieudany, to jednak cel swój osiągnął; od tego momentu bowiem nastąpiło znaczne złagodzenie w prześladowaniu. Już nie bito aresztowanych, których przedtem nawet zamęczano na śmierć. Padł strach na naszych prześladowców, skoro zobaczyli, że stosowane przez nich torturowanie wytwarza mścicieli takich jak Zieliński.

Jeszcze w Warszawie rozmawialiśmy niejednokrotnie na temat znaczenia nieudanego zamachu. Dochodziliśmy w naszych rozważaniach do przekonania, że właściwie nieudany zamach może przynieść nawet więcej korzyści, bo nie wywołuje w społeczeństwie współczucia dla jego ofiar, a już samo ujawnienie groźnego protestu cel swój osiąga. Te teoretyczne rozważania nie dałyby się stosować w praktyce, gdyż ofiarowywanie swego życia bez jednoczesnego wyładowania emocji zemsty, byłoby psychicznie prawie niemożliwe.

Zamach Zielińskiego kosztował jednak jeszcze jedną ofiarę, w torturach, przy wymuszaniu zeznań, zginął ślusarz Bańkowski. Nie chciano mu wierzyć, żeby poza faktem znajomości z Zielińskim mógł nic więcej nie wiedzieć. A tymczasem Bańkowski, poza wykonywaniem łusek metalowych rzeczywiście nic więcej nie wiedział i nikogo więcej nie znał.

421



Zgubiło go roz targnienie Zielińskiego, tuż przed udaniem się do cerkwi. Wysłał on bowiem do Bańkowskiego przez posłańca walizkę z pozostałymi materiałami technicznymi, a karteczkę, otrzymaną od posłańca z jego numerem, włożył automatycznie do kieszeni; to wystarczyło naturalnie do wykrycia śladu współnika.)

Po nieudanym zamachu Zielińskiego, dokonano rewizji u wszystkich moich krewnych, z którymi pozostawałem w kontakcie.

Pierwszym moim zadaniem, po przybyciu do Londynu, było nauczenie się miejscowego języka. A gdy zrobiłem pewne postępy i zacząłem szukać zajęcia, przekonałem się wkrótce, że otrzymanie stanowiska chemika przez cudzoziemca jest w moich warunkach prawie niemożliwe. Wprawdzie angielski przemysł chemiczny sprowadzał niekiedy fachowców z kontynentu, ale czynił to za pośrednictwem znanych mu profesorów. Do kandydatów zaś, którzy się już znajdowali w Anglii, nie miał zaufania. Wzbudzali podejrzenie, że opuścili kraj własny z powodu grożącej im kary za jakieś przestępstwa kryminalne. Ten brak zaufania był zupełnie uzasadniony, bo rzeczywiście wiele przeróżnych postaci kryminalnych do Londynu wówczas napływało.

Starania moje o posadę trwały dosyć długo, zanim uznałem je za beznadziejne. Wreszcie i posiadany zapasik pieniędzy zupełnie się wyczerpał. Do Mendelzona nie chciałem się zwracać o chwilową pomoc, albowiem wymownie dawał do poznania, że zbyt wiele kosztuje go pomoc udzielana polskim emigrantom politycznym.

Posiadaliśmy jeszcze zapas węgla i trochę ziemniaków, na chleb jednak pieniędzy już brakło. Nie było innej rady jak poprzestać na kartoflance. Tak minął prawie tydzień, kiedy nas jednego dnia odwiedził Jodko-Narkiewicz. Coś go musiało u nas zaintrygować, gdyż najniespodziewaniej zapytał czy czasem nie odczuwamy braku pieniędzy. A gdy otrzymał



odpowiedź niezbyt wyraźną, prosik o przyjęcie pożyczki jednego funta.

Z pożyczki skorzystaliśmy, bo spodziewaliśmy się przesyłki od matki I rzeczywiście przeczucie nas nie zawiodło. W kilka dni po wizycie Jodki Narkiewicza nadeszło od matki 100 rubli. Mielismy teraz możność zająć cały domek dla siebie, gospodarze nasi przenieśli się bowiem do innej dzielnicy miasta. Wynajęcie tego domu o 4 pokojach i kuchni, z dosyć dużym podwórzem i składem na materiały opałowe, kosztowało pół funta tygodniowo; było to nie wiele więcej aniżeli koszt poprzednio zajmowanego przez nas pokoju umeblowanego.

Mniej więcej w tym czasie odbył się w Paryżu zjazd socjalistów polskich, przebywających zagranicą. Na zjeździe tym utworzono organizację "Związek Zagraniczny Socjalistów Polskich". Skład jego stanowili emigranci z zaboru rosyjskiego. W pozostałych zaborach organizacje socjalistyczne prowadziły swoją działalność zupełnie legalnie.

Wkrótce jednak po zjeździe, władze polityczne francuskie, zapewne pod naciskiem Rosji, wydalily z Francji prawie wszystkich polskich socjalistów. Część ich przybyła do Londynu i znacznie zasilila kolonię naszą w tym mieście.

Przyjechali wtedy między innymi: Bolesław Jędrzejowski, Stanisław Wojciechowski, Bolesław Miklaszewski, Edward Abramowski i kilku innych.

Na zjeździe paryskim wybrano naczelnym redaktorem "Przedświtu" Witolda Jodko-Narkiewicza. Z ważniejszych uchwał, należy przytoczyć wprowadzenie do programu organizacji postulatu prowadzenia walki dla zdobycia niepodległości narodu polskiego. Taki postulat został zapewne po raz pierwszy uchwalony przez organizację socjalistyczną.

423

Stanisław Mendelson, po wyborze Jodki-Narkiewicza na naczelne stanowisko w redakcji pisma, które w tej chwili stało się oficjalnym organem Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich, został w swych ambicjach



poważnie dotknięty. Przecież to on od dłuższego czasu redagował i wyda-  
wał Przedświt, ponosząc osobiście znaczne koszty materialne. On przecież,  
a nie kto inny, od pewnego już czasu rozpoczął w swych artykułach wska-  
zywać na ważność prowadzenia działalności nad wyzwoleniem Polski z pod  
zaborów. W swojej goryczy nie uświadamiał sobie faktu, że z racji swojej  
nadmiernej ambicji, stracił wszelką popularność w socjalistycz-nych rze-  
szach polskich, tak w kraju, jak i zagranicą. Nie był on jednak już w  
stanie nałożyć na nią hamulca i wystąpił z organizacji, zrywając wszelki  
dalszy kontakt z jej członkami.

Po dłuższym okresie czasu, kiedy stracił swoją żonę, wyjechał Men-  
delson z Anglii i osiadł w zaborze austriackim, powróciwszy znowu do  
społeczeństwa żydowskiego.

Po zjeździe paryskim i przyjeździe towarzyszy do Londynu, ożywiła  
się bardzo praca w drukarni, którą przeniesiono z mieszkania Mendelsonów  
na Beaumont Square. Od czasu do czasu brałem i ja udział w posiedzeniach  
a to jako członek Centralnego Komitetu Związku, wybrany na zjeździe pa-  
ryskim.

W dużym domu redakcyjnym zamieszkali Jędrzejowscy z małą córecz-  
ką, Witold Jodko-Narkiewicz, redaktor naczelny Przedświtu i Aleksander  
Dębski z żoną, który pracował w drukarni i zajmował w niej kierownicze  
stanowisko. Bolesław Jędrzejowski był gospodarzem domu; zawiadywał on  
kasą, prowadził buchalterię, kierował sekretariatem, robił korektę  
wszystkich wydawnictw i współpracował z redaktorem Przedświtu, umiesz-  
czając tam także swoje artykuły. Był to człowiek niezwykle pracowity,  
którego czas roboczy ocenialiśmy na kilkanaście godzin dziennie.

Działalność londyńską Jodki-Narkiewicza stawiałem bardzo wysoko.  
Nietylko odznaczał się on wielką pracowitością, ale ponadto, prawie ca-



łą swoją okazałą pensję, którą otrzymywał regularnie z domu rodzinnego, zużywał na cele organizacji.

Gdy na gruzach partii Proletariat, powstała w roku 1893 nowa organizacja w zaborze rosyjskim, pod nazwą Polskiej Partii Socjalistycznej, wówczas Związek Zagraniczny Socjalistów Polskich wraz z Centralnym Komitetem londyńskim, został jedynym jej przedstawicielem zagranicznym. Wydawnicza działalność drukarni londyńskiej znacznie się z tej racji ożywiła. Wielkie transporty jej wydawnictw szły wówczas do zaboru rosyjskiego. Jako zecerzy pracowali, oprócz Dębskiego, także Stanisław Wojciechowski, Bolesław Miklaszewski i inni. Wszyscy oni wraz z Dębskim czerpali środki na utrzymanie z pracy zecerskiej.

Gdy już straciłem wszelką nadzieję dostania posady w mojej specjalności chemicznej, próbowałem nauczyć się rzeźbiarstwa w drzewie, przeważnie w dębinie. Po dwutygodniowej praktyce zrobiłem duże postępy. Pomimo to talenty moje w tej dziedzinie nie były zadowalające, albowiem wykonywałem prace zbyt powolnie i nie było nadziei, żeby w tym kierunku nastąpiła poprawa na lepsze. Organiczna wada stała temu na przeszkodzie. Ręka moja, po jej sforsowaniu drżała tak mocno, że nie mogłem dość szybko i pewnie wykonywać dłutem rzeźbiarskim cięć. Musiałem więc naukę w tej specjalności zarzucić.

Wkrótce jednak nadarzyła mi się sposobność nauczenia się fachu fryzjerskiego u Polaka, Zboralskiego. Nawet podczas praktyki, w czasie której przypadały mi funkcje pomocnicze, jak namydlenie, obmywanie i ocieranie twarzy, oraz czesanie już ostrzyżonych, miałem oprócz skromnego mieszkanka, pobierać jeszcze pewne niewielkie wynagrodzenie. Przeniósłem się więc ze swoją rodziną /przybyła nam już córeczka/ na Carlsland Road do dwupiętrowego domu, zajmowanego przez Zboralskiego. Sama nauka kunsztu fryzjerskiego miała się odbywać w dnie spokojniejsze,



kiedy praca w zakładzie była niewielka.

Przenosząc się do zakładu fryzjerskiego, poprawiłem swoje położenie materialne; od matki otrzymywałem w dalszym ciągu zasiłki, lecz miałem nadzieję, że w niedługim czasie będę mógł podziękować dobrej matce za jej dalszą pomoc.

Zboralski, który coś wiedział o mojej przeszłości w Kraju, odnosił się do mnie nadzwyczajnie delikatnie. Informował swoich klientów, że jestem emigrantem politycznym i posiadam wyższe wykształcenie. Mówił im również, że pomimo swego skromnego wynagrodzenia, napiwków nie przyjmuję. Jeden z klientów chciał to sprawdzić, ofiarując mi pół szylinga. Odmówiłem przyjęcia, nie potrafiłem bowiem pod tym względem dostosować się do swojego ówczesnego bardzo skromnego stanowiska.

Po upływie pewnego czasu w mojej praktyce fryzjerskiej nastąpiło i tym razem rozczarowanie. Z tych samych powodów co w rzeźbiarstwie, fach fryzjerski był dla mnie niedostępny.

Na razie nie miałem innej rady jak kontynuować swoją pomocniczą funkcję. W strzyżeniu nabyłem dostatecznej wprawy, aby móc zająć się całą młodzieżą przychodzącą do zakładu; do golenia więcej się nie zabierałem.

Mój szef, który zanim osiadł w Londynie, objechał na statkach prawie cały świat jako fryzjer i był przytym bardzo przedsiębiorczy, postanowił poprawić swój los i przenieść się z rodziną do Stanów Zjednoczonych. Namówiwszy mnie do przejęcia swego interesu za 40 funtów, wyjechał do Ameryki. Potrzebną do transakcji gotówkę otrzymałem od matki.

Jako właściciel zakładu, nie musiałem już przez cały tydzień w nim przebywać. Na obsłużenie codziennych gości, wystarczał jeden fachowiec, a tylko w sobotę, wobec bardzo dużej frekwencji klientów, pomoc moja była konieczna. Dochód, po opłaceniu fachowca, wystarczał mi na czynsz



za wynajęty lokal. Dom ten był tak obszerny, że mogło w nim zamieszkać oprócz fryzjera, także jeszcze kilku towarzyszy.

Chcąc wykorzystać swój wolny czas, sprowadziłem kaukaskie grzybki kefirowe i zacząłem wyrabiać kefir. W preparat ten mleczny bardzo wierzyłem i kiedy moja produkcja okazała się doskonałą, kupiłem konia i lekki wózek dwukołowy, żeby móc samemu dowozić kefir odbiorcom.

Na podstawie skromnych ogłoszeń otrzymywałem zamówienia, ale tylko od ludności żydowskiej, zamieszkującej w zwartej stutysięcznej masie pewien obszar wschodniej części miasta. Starsi Żydzi, kupujący u mnie kefir, znali go przeważnie jeszcze z Rosji. Natomiast Anglicy preparatu tego nie kupowali. Mieli zakorzenione uprzedzenie do mleka, które uległo już fermentacji, a skromna moja reklama nie budziła dostatecznego zaufania co do wartości fabrykatu. Społeczeństwo angielskie mierzyło wartość towaru kosztownością jego reklamy. Wobec tego nie mając warunków odpowiednich do rozwinięcia przedsiębiorstwa, zlikwidowałem je. W to miejsce postanowiłem nauczyć się rzemiosła stolarskiego. Do tego fachu mieli cudzoziemcy łatwy dostęp i liczni Polacy z tego korzystali.

Praktykę odbywałem u majstra, Polaka Boruty, który wytwarzał kilka modeli stolików i biurek inkrustowanych. Co tydzień wywoził wykończone sztuki na specjalne targowisko, na którym sprzedawał je z wolnej ręki. O zamówieniach nie było mowy, gdyż prowadził zbyt małe przedsiębiorstwo.

Już po kilku dniach nauki mogłem pracować z pożytkiem dla warsztatu. Było to możliwe z powodu dużej ilości inkrustacyjnych czynności, do których mogłem wykonywać rysunki. Samo zaś żłobienie w fornirze, nie przedstawiało dla mnie trudności. Już nie pamiętam, jak długo moja praktyka trwała, dosyć na tym, że przeszedłem do dużego warsztatu stolarskiego, a jako stolarz, który nie posiada jeszcze pełnej wprawy w swoim fachu, pobierałem nieco niższą płacę,



Pod koniec nauki u majstra Boruty, wyświadczyłem mu raz pewną wielką przysługę. Miał on dodatkowe zajęcie w dużym bardzo magazynie londyńskim, które polegało na wykonywaniu różnych nadarzających się tam robót stolarskich. Mówił mi on, że za jedną z wielkich jego szyb wystawowych znajdowały się cenne wyroby ceramiczne ustawione amfiteatralnie. Szyba ta często się zraszała, a dostęp do niej był bardzo utrudniony. Gdybym <sup>zaś</sup> na to zaradził, to stanowisko jego w magazynie bardzo by się wzmocniło.

Poszliśmy więc do odnośnej części sklepu, celem zbadania istniejących tam warunków. Amfiteatr z wazonami znajdował się w zupełnie zamkniętej przestrzeni, do której prowadziły drzwi od wewnątrz. W tych warunkach rozwiązanie zadania nie przedstawiało dla mnie trudności. Poleciałem Borucie wywiercić otwór nad szybą wystawową i wmontować tam zwyczajny wentylator skrzydełkowy, poruszany automatycznie ruchem powietrza idącego z zewnątrz. Chodziło mi o dostateczne obniżenie temperatury w przestrzeni wystawowej i zbliżenie stopnia nasycenia powietrza parą wodną do nasycenia powietrza zewnętrznego.

Wielką radość sprawiłem swemu majstrowi, kiedy po zastosowaniu tych środków rada moja okazała się skuteczna. Szczególnie w zimowej porze, kiedy kondensacja pary wodnej na szybie najwięcej uprzednio sprawiała kłopotu, to obecnie nie było już śladu zroszenia.

Tym razem jednak nie kontynuowałem swojego zajęcia przy warsztacie stolarskim. Nie mogłem się pogodzić z zupełnym zerwaniem z moją naukową przyszłością.

Nie wiodło mi się również i w zakładzie fryzjerskim. Przez częste zmiany fachowców, tworzących w Londynie lotny zespół, żadny ciągłych zmian, zakład mój zaczął podupadać. I gdy już nie było możliwości uratowania sytuacji, byłem zmuszony fryzjernię zlikwidować.

W r. 1894 przybył nam syn Michał. Moje liczne niepowodzenia w Londy-



nie wskazywały, że zupełnie nie mogłem się zżyć z tamtymi warunkami. Doświadczenie życiowe wrażało, ale każdorazowo kosztem niepowodzenia. Gdybym otrzymał posadę w swoim fachu, to przystosowanie się do nowych warunków byłoby znacznie łatwiejsze. Nie byłbym wówczas narażony na tak liczne rozczarowania przy zdobywaniu coraz to nowych możliwości bytowania.

Przeprowadziliśmy się z kolei na Stepney Green do mieszkania w dużym gmachu czynszowym, zbudowanym przez Rotschilda. Właściciel domu miał zapewne na względzie cele społeczne, gdyż zajmowane przez nas mieszkanie było dosyć wygodne a stosunkowo tanie. Lokatorzy domu byli przeważnie żydowskiej narodowości.

Sąsiadka nasza, żydówka holenderska, dziwiła się, że nasz język, chociaż pochodziliśmy z Polski, zupełnie brzmiał inaczej, aniżeli język używany w tej dzielnicy Londynu, który przyjmowała za polski. Żydzi z naszego kraju, mówiący między sobą żargonem niemieckim, chętnie się przedstawiali jako Polacy. Z tej racji powstało to nieporozumienie.

Po przerwaniu pracy stolarskiej i kiedy w drukarni naszej na Beaumont Square zwiększyło się zapotrzebowanie zecerów, rozpocząłem pracę w tym fachu i stosunkowo prędko zdobyłem pewną wprawę. Miałem przy tym możliwość rozporządzania swoim czasem, bo praca była opłacana od ilości złożonych wierszy.

Chcąc sobie odświeżyć swoje studia fachowe, chodziłem w wolnych chwilach do "Patent Library", otwartej do godz. 10 wieczorem. Oprócz tego chodziłem do wieczornej szkoły chemicznej.

Z końcem roku 1894, ~~czy też z początkiem 1895~~, przyjechał do Londynu Józef Piłsudski, jako przedstawiciel Polskiej Partii Socjalistycznej w zaborze rosyjskim. Stojąc na jej czele, Piłsudski narzucił przede wszystkim walkę o pełne wyzwolenie Polski z pod panowania obcych. Wpraw-



dzie już przed jego powrotem z zesłania Partia posiadała w programie swoim także postulat wyzwolenia naszej Ojczyzny, ale dopiero Piłsudski postawił to zadanie na pierwszym miejscu. Wszystko inne musiało być podporządkowane tej najważniejszej sprawie.

Od pierwszej chwili spotkania z Piłsudskim, utrzymywaliśmy między sobą dość żywy i częsty kontakt. Jego działalność i wybitne zdolności budziły we mnie stale rosnący podziw.

Podczas pobytu jego w Londynie wyczuwało się duże ożywienie w naszej ściślejszej gromadzie, a gdy nas opuścił, brakowało nam bardzo jego wielkiej energii i zapaku.

Wyjazd Piłsudskiego z Londynu odbył się z największą konspiracją. Bezpośrednio przed udaniem się na dworzec kolejowy, pozbył się swej brody, a charakterystyczne brwi jego zostały przystrzyżone. Zmieniło to zupełnie jego wygląd. Chodziło o to, aby wyjazd nie był zauważony przez agentów, udawał się bowiem bezpośrednio do zaboru rosyjskiego pod przybranym nazwiskiem. Tam koncentrowała się wówczas jego działalność rewolucyjna.

Mój pobyt londyński nie przynosił mi prawie żadnego zadowolenia duchowego. Zbyt wiele czasu poświęcałem na walkę o byt materialny, a jego potrzeby ideowe w bardzo małym stopniu mogłem zaspokajać. Wszystko, co mógłbym w tym kierunku na obczyźnie zrobić, wykonywali inni, wyczerpując wszystkie możliwości działania. To też tęsknota za Krajem, za własnym środowiskiem, z którego zostałem wyrwany nagle i ~~na~~ to od bardzo żywej i pełnej treści roboty, zaczęła wyraźnie deprymująco działać na mój stan psychiczny. Do tego dołączyła się jeszcze choroba żony i dwojga dzieci. Zachorowały na koklusz, który w Polsce nie był zupełnie groźny, a w Londynie dla nieletniego potomstwa cudzoziemców, nawet w Anglii urodzonego, był zabójczy. Córeczka uległa też tej chorobie. Chłopiec



Michał, nie mający jeszcze roku, zachował życie dzięki swojej nadzwyczajnie silnej budowie. Jedynie późniejszy jego rozwój był z tego powodu nieco osłabiony, i kiedy wyrósł nie był już fizycznie tak silnym jak to się przed chorobą zapowiadało.

Choroba całej rodziny, bezustanna pielęgnacja dniami i nocami, później strata córeczki, wszystko to spowodowało zupełny rozstrój mojego systemu nerwowego. Stan mój duchowy uległ ciężkiej chorobie. Opanowała mnie tak wielka obojętność, że życie stało mi się prawdziwym ciężarem. I gdyby nie rodzina wróciłbym zapewne do Kraju, żeby tam szukać śmierci.

Przyczyniła się do tego niewątpliwie także strata najukochańszej mojej siostry Zofii. Była jedyną osobą przed którą zwierzałem się jeszcze w Kraju ze swoich przeżyć. Mówiono nawet, że wyjazd nasz na tułaczkę zagraniczną przyspieszył kres jej życia.

Kiedy w drukarni zmniejszyła się robota, a dla pozostałej pracy zecerskiej wystarczał kontyngent moich kolegów, powróciłem znowu do stolarszczyzny.

Dostałem się do wielkiego warsztatu, w którym wykonywano wyłącznie ciężkie dębowe meble. Ta zmiana zajęcia była dla mnie nadzwyczajnie szczęśliwym wydarzeniem. Przy ciężkiej pracy fizycznej, przy której siła wyrównywała brak wprawy fachowej. znajdowałem odpoczynek dla swego stanu psychicznego. Po pewnym czasie minęło moje zakłamanie wewnętrzne i poczułem się znowu w równowadze. Ale jednocześnie nastąpiła wielka przemiana psychiczna. Opanował mnie taki głód do nauki, że przewyższał pod tym względem znacznie mój stan z pierwszych lat ryskich. Ciężka praca fizyczna okazała się świetnym lekiem na różne duchowe dolegliwości. Poczułem znowu w sobie pełną młodość i energię. Tak małżonka jak i



całe moje otoczenie londyńskie zauważyło we mnie tę zmianę. Oprócz pędu do nauki, zdobyłem ponadto siłę życiową, którą promieniowałem jeszcze na inne istnienia, szabnące pod ciężarem życia.

Po tej przemianie nabrałem także wiary w bliskie uzyskanie warunków do pracy naukowej, chociaż nie na to jeszcze nie wskazywało.

W drukarni nastąpił znowu przypływ zamówień i umożliwił mi tam pracę. Wolne chwile spędzałem w bibliotece, gdzie czytałem dzieła naukowe.

Nadszedł rok 1897 który przyniósł mi długo oczekiwaną zmianę sytuacji życiowej. Arctowski, który pracował naukowo w Liège, i który wybierał się właśnie do bieguna południowego, uzyskał zgodę prof. Springa na zatrudnienie mnie jako swego asystenta przy katedrze chemii fizycznej. Później otrzymałem także z Fryburga list od prof. Kowalskiego, kolegi mego starszego brata Władysława z warszawskiej szkoły realnej. Znałem go jeszcze z tych czasów, kiedy do brata przychodził. Został świeżo powołany na katedrę fizyki na uniwersytecie kantonalnym we Fryburgu. Pisał mi, że może mi ułatwić pobyt w Szwajcarii i gotów powołać mnie na asystenta katedry fizyki.

Uzyskanie prawa pobytu w którymkolwiek kraju kontynentu europejskiego, była dla mnie sprawą niełatwą. Władze rosyjskie mogły, podobnie jak w Londynie, oskarżać mnie o anarchizm. Wiedziałem, że oprócz Anglii, mógłby ten rodzaj oskarżenia we wszystkich innych państwach europejskich stanowić dostateczny powód do odmówienia zezwolenia na dłuższy pobyt.

Wybrałem propozycję prof. Kowalskiego.

Z wyjazdem do Szwajcarii miałem jednak czas do jesieni na rozpoczęcie roku akademickiego. Pozostała mi zatem jeszcze część wiosny i lat które chciałem wykorzystać dla zaoszczędzenia sobie trochę pieniędzy na podróż.



To też gdy nadeszła cieplejsza pora, zanagażowałem się do przedsiębiorcy, który dostał zamówienie na ułożenie posadzki w wielkim hotelu na prowincji, w Newmarket.

Praca moja okazała się rzeczywiście ciężka, przypadła mi bowiem w udziale jej część najbardziej uciążliwa. Musiałem na kolanach wyrównywać heblem twardą posadzkę dębową, a następnie wygładzać ją cykliną i papierem szmirglowym. Już od samego początku mojej pracy, odczuwałem nie tylko dotkliwy ból w kolanach, lecz również pojawiały mi się w oczach iskierki świecące, połączone z cierpieniem. Wytrzymywałem zmęczenie i ból, mając świadomość, że to wszystko już wkrótce się skończy i rozpocznie się nowy okres tak upragnionej przeze mnie pracy naukowej.

Nie towarzyszyłem moim kolegom, gdy po osmiodzinnym dniu pracy zachodzili do barów; bardzo ich to gniewało i drażniło. Jeden Włoch tak mnie nawet z tego powodu sprowokował, że byłem zmuszony dać mu należytą odprawę. Wykazałem przytem moję nieprzeciętną siłę i widocznie zaimponowałem swoim kolegom, gdyż od tej chwili unikali ze mną jakichkolwiek zadrażnień, a nawet zdobyłem sobie z tej racji pewien szacunek.

Wreszcie nadeszła upragniona chwila wyzwolenia z ciężkiego dla mnie pięcioletniego okresu przeżyć londyńskich.

Mieszkanie nasze, wraz ze skromnym umeblowaniem pozostawiliśmy Wincentemu Sikorskiemu, bardzo inteligentnemu krawcowi, który z żoną już przedtem był moim lokatorem. Był on szwagrem Stefana Tiela z Berlina.

Później, kiedy już byłem Prezydentem R.P., odwiedzał mnie Sikorski parokrotnie. Był kierownikiem dużego zakładu krawieckiego, dostarczającego umundurowanie dla wojska. Syn jego urodzony w Londynie, uzdolniony muzyk, zajmował stanowisko profesora warszawskiego konserwatorium.



W chwili wyjazdu naszego z Londynem było nas czworo, gdyż jeszcze pół roku przed opuszczeniem tego miasta, przybyła nam córeczka Helena. Syn miał wówczas 3 lata.

Pamiętam, jak bardzo cieszyliśmy się, gdy pociąg wydostał się z wielkiego obszaru miejskiego na pola i łąki. Przecież obiecywałem sobie jeszcze w szkole średniej, że miszę po ukończeniu swej nauki osiąść na wsi; życie miejskie mi nie odpowiadało. Lubiełem ciszę wiejską, ukochałem nieskażone piękno przyrody, a miasta nazywałem żartobliwie kretowiskami ludzkimi. Pragnienia moje jednak nie ziściły się, czynniki bowiem na które nie miałem wpływu, poprowadziły nas gdzie indziej.

W Calais wypytywał mnie inspektor policji francuskiej o cel podróży. Powiedziałem mu, że w Paryżu przejeździemy tylko z dworca na dworzec i wyjedziemy zaraz dalej do Zurichu w Szwajcarii, w zamiarze kontynuowania moich studiów.

W czasie podróży koleją przez terytorium francuskie, mieliśmy "troskliwą" opiekę władz policyjnych, których agenci dawali częste dowody. W Paryżu opieka ta wprawiła nas w wesoły humor. Oto agent policyjny biegł za naszą dorożką przez całą drogę z jednego dworca na drugi. Było to, jak na owe czasy, wyczyn dobrego biegacza; zaoszczędził sobie widocznie w ten sposób wydatek przeznaczony na dorożkę.

Dopiero w Bazylei, kiedy zajęliśmy miejsca w pociągu zdążającym do Zurichu, straciliśmy z oczu naszych opiekunów. Przesiadłszy się w Olten, przebyliśmy już bez jakiegokolwiek dalszej kontroli do celu naszej podróży - zacisznego Fryburga.

## R O Z D Z I A Ł VII.

Po dłuższym okresie czasu, kiedy zdołałem się już dobrze zadomowić w nowym miejscu pobytu, nadszedł list z poselstwa rosyjskiego pod adresem kantonu fryburskiego, w którym przedstawicielstwo Rosji w Bernie oskarży-